

---

**TOMASZ AUGUSTYNOWICZ**

## **Z POSŁUGĄ LEKARSKĄ W JAKUCJI**

Nie zdążyłem jeszcze odetchnąć po wyczerpującej podróży na Sachalin, kiedy los rzucił mnie nad brzegi Morza Lodowego do półdzikich plemion zamieszkujących peryferie północno-wschodniej części Syberii, za kręgiem polarnym. Nasz rząd powiadomiony przez generał-gubernatora Syberii Wschodniej o rozprzestrzenianiu się chorób syfilitycznych w okręgu jakuckim oraz przymorskim został zmuszony do podjęcia zdecydowanych kroków celem zdławienia zarazy, która już długo gnieździła się wśród tubylczych plemion. W tym celu roku 1874 wyekspediowano na owe tereny sześciu lekarzy, wśród których znalazłem się i ja.

Opis mojej podróży zacznę od wyjazdu z Irkucka do Jakucka, dokąd przyszło mi płynąć łodzią przez Lenę ponad 2 tys. wiorst. Po drodze zatrzymywałem się w wielu miejscowościach w celu zbadania objawów syfilisu wśród tutejszych mieszkańców.

### **Notatki z podróży**

11 lipca 1874

Po otrzymaniu od generał-gubernatora Syberii Wschodniej niezbędnych wskazówek dotyczących mojego wyjazdu oraz polecenia obserwacji chorób syfilitycznych u mieszkańców okręgu kireńskiego guberni irkuckiej wyjechałem z Irkucka 8 lipca 1874 r. Do rzeki Leny najwygodniej było jechać drogą lądową 8 stacji pocztowych. Dziewiąta stacja znajdowała się w osadzie Kaczug położonej nad brzegiem Leny. Dalej trzeba było jechać łądem jeszcze pięć odcinków i cztery stacje pocztowe wzdłuż rzeki. Cała droga biegła wąskim brzegiem położonym ciasno pomiędzy Leną a wąskimi stromymi górami o wysokości 80 sążni i więcej, tak że trzy konie z ekwipunkiem z trudem mogły się nią przecisnąć. Te wysokie i strome góry przypominały gliniaste warstwy ciemno-czerwonego koloru. Podróż tym odcinkiem wydała mi się niebezpieczna i straszna. Na niebezpieczeństwo wskazywały wielkie odłamy skał rozrzucone w wielu miejscach, nie tylko nad brzegiem Leny, lecz również na wąskiej ścieżce, po której jechałem; ogarnął mnie bezwolny strach na widok wiszących nad moją głową, wysuniętych do przodu odłamów. Lena miała

w swym biegu wiele zakrętów, płynąc pomiędzy górami różnej wielkości i formy, wskutek czego droga biegnąca wzdłuż rzeki była bardzo kręta. Ciągnęła się ona albo wzdłuż brzegu albo oddalała się od niego w głąb gór. Przeprowa przez góry, gdzie wzniesienie ciągnęło się czasami dwie, trzy wiorsty, była tym bardziej ciężka, że do mojego ekwipunku z trzema końmi dołączono jeszcze trzy kolejne. Większa partia gór była porośnięta głównie sosnami i modrzewiami, pomiędzy którymi tylko gdzieniegdzie dało się dojrzeć brzozy. Tylko nieliczne góry były całkowicie nagie. Tereny nizinne porasta olcha, osika, małosła brzoza oraz inne rośliny krzewiaste, z wyjątkiem leszczyny, której nigdzie nie spotkałem.

10 lipca przybyłem do wsi Żygajłówka położonej na lewym brzegu Leny na równinie otoczonej niewielkimi górami. Wieś sprawiała wrażenie dość schludnej. Stało w niej kilkadziesiąt domów, wśród których te należące do bogatych chłopów wyróżniały się piękną zabudową i nadzwyczaj zmyślnym rozplanowaniem pokoi gościnnych. Każdy podróżujący, który nie chce dłużej płynąć ciasną i niewygodną łodzią pocztową, powinien zatrzymać się na dwie lub kilka nocy, aby pozbyć się swojego ekwipunku oraz zaopatrzyć w sztyk, to znaczy w łódź większych rozmiarów zawierającą kabinę (rodzaj kajuty) dla pasażera i jego zapasów.

15 lipca 1874

Już trzy dni płynę Leną na swoim sztyku prowadzonym przez dwóch wioślarzy i jednego sterowego, którzy zmieniają się na każdej stacji. Stacje owe leżą to na prawym to na lewym brzegu, zależnie od warunków dla postoju, w odległości 20-30 wiorst. Jestem już 300 wiorst od Żygajłówki, dwa razy przenocowałem w łodzi na brzegu rzeki. Nocą niewygodnie jest płynąć, ponieważ można napotkać dużo mielizn, których nie widać po ciemku; do tego Lena w tym miejscu jest bardzo płytka, o czym przekonałem się wczoraj, zobaczywszy chłopą przeprawiającego się konno na drugi brzeg rzeki. Poza tym, podczas nocnego pływania istnieje niebezpieczeństwo spotkania z niedźwiedziem, który schodząc z gór na brzeg rzeki w poszukiwaniu jedzenia, atakuje łódź, o czym dowiedziałem się z opowiadań wioślarzy. Na odcinku od Żygajłówki do stacji bojarskiej, gdzie zatrzymałem się na nocleg, Lena była nadzwyczaj kręta i niczym wąż prześlizgiwała się pomiędzy górami pokrytymi sosnowym lasem z domieszką wielkich modrzewi. Pomiedzy nimi widniały wysokie oraz cienkie, a przy tym proste jak palmy, brzozy z niewielkim rozgałęzieniem u góry. Pasma górskie rozpościerało się oddalonym łańcuchem po obu stronach Leny. Każdy łańcuch składał się z falistych górskich grzbietów pokrytych ciemną zielenią drzew iglastych albo całkowicie obnażonych, stojących obok siebie, o formie jakby zburzonych ścian o mocy to starego zamku to wysokich stożkowatych wież, to cylindrycznych, grubych kolumn z obciętymi szczytami, to szpetnej głowy jakiegoś przedpotopowego zwierzęcia z rozwartą paszczą oraz wielu innych przedmiotów najdziwniejszego kształtu.

17 lipca 1874 r.

Im bliżej Kireńska, tym miejscowości po obu stronach Leny były piękniejsze. Brzegi rzeki stopniowo się wznosiły i były pokryte takimi drobnymi kamyczkami jak jej dno. Ostre zakręty przypominały nurt Amuru, a rozgałęzienia górskich grzbietów oddalających się w tajgę zarówno z prawego, jak i z lewego brzegu rzeki – niewielką wyspę Sachalin, jeśli patrzeć na nią z oddali, płynąc od miasta Nikołajewska do Cieśniny Tatarskiej. Podobieństwo to uderzyło mnie, gdy patrzyłem na strumienie spływające z wysokich gór do Leny. Zbliżywszy się do jednego z takich potoków, zauważyłem rząd wybudowanych wokół niego niewielkich młynów, w których chłopci mielili zboże wiosną, tą właśnie porą, kiedy lód w potokach taje i zmieniają się one w niewielkie rzeczki o bystrym nurcie. Ostatnimi laty stały one jednak bezużyteczne, bez żadnej opieki. Takich młynów naliczyłem w jednym miejscu do 10 albo i więcej. Wszystkie wsie spotkane po drodze położone są na wysokich brzegach Leny, gdzie nie podchodzi woda w czasie wiosennych roztopów. Chłopskie chaty są wyjątkowo piękne, zbudowane z drewna sosnowego lub świerkowego, mają drewniane dachy, ponieważ jest tutaj bardzo dużo materiału budowlanego. Komnaty ich są bardzo schludne i jasne, nie zważając na to, że w oknach zamiast okien wstawiona jest mika wydobywana przez miejscowych z gór. Wiosną i latem chłopci zajmują się uprawą zbóż. W tym celu karczują (tzn. wrywają wielkie korzenie drzew) te kawałki ziemi w tajdze, które położone są blisko wiosek oraz sieją na nich żyto, jęczmień, owies, pszenicę. Ogrodów we wioskach jest bardzo mało.

Większych pól przeznaczonych do sianokosów nie ma wcale, a spotyka się tylko nad brzegiem Leny wąskie pasma suchych bagien porośniętych osoką, którą tylko wykorzystują chłopci. Dlatego cena za siano jest tutaj tak wysoka, że w 1873 r. za niewielki wóz płacono 20 rubli srebrem. Zimą poluje się na wiewiórki i sobole. Tych pierwszych jest w tajdze bardzo dużo, lecz wartość ich futra wynosi poniżej średniej; za to soboli jest mało, lecz ich skóra warta jest od 25 do 50 rubli. Jesienią poluje się czasami na niedźwiedzie, co jednak zawsze wiąże się z pewnym niebezpieczeństwem, dlatego, że zwierzę ten jest bardzo śmiały i silny, a przy tym nadzwyczaj wysokiego wzrostu. Napada on nie tylko na bydło we wsiach, lecz także na człowieka, którego spotka w tajdze.

Opowiedziano mi o jednym nieszczęśliwym wypadku, jaki miał miejsce w pobliżu wsi Tajury położonej nad rzeczką o tej samej nazwie; niedźwiedź zadusił na śmierć Tunguza i Tunguzkę, którzy zatrzymali się ze swoimi reniferami na nocleg. Z tego powodu następnego dnia urządzono polowanie, podczas którego zwierzę zostało zabite, a zdjęta z niego skóra miała około 4 arszynów długości. Niedźwiedzia takiej wielkości spotyka się tutaj stosunkowo często, a bywa on tak silny, że zaduszonego konia czy krowę bierze oburącz i na tylnych łapach unosi w tajgę. Nierzadko zdarza się, że schwytanego psa zjada na miejscu.

Głuchy teren nad Leną sprzyja nieuczciwości i podstępowi, czego najlepszym dowodem są tutejsi zesłańcy. Pozornie wydają się pokorni, dobroduszni i usłużnymi, a tymczasem w ich myślach kryje się zawsze jakiś zły zamysł. Zabić człowieka to dla nich nic, wykorzystują do tego każdą okazję, np. często napadają na wracających z kopalni robotników z pieniędzmi, wcześniej zaprosiwszy takiego do siebie na nocleg. Ślady zbrodni ukrywa wiecznie milcząca tajga, a czasami rzeka Lena. W ogóle moralność miejscowej ludności jest skrajnie zepsuta, a skłonność do pijaństwa tak silna, że wskazywano mi na niektóre wsie, których mieszkańcy wyróżniali się szczególną słabością do wódki. Mówi się o nich ze śmiechem, że nawet ich dzieci rodzą się pijane. Między innymi dlatego nie można wykorzenić wszelkiego nieporządku w tym głuchym kraju, oddalonym setki wiorst od centrum nadzoru policyjnego, tym bardziej, że miejscowe władze gminne bardzo pobłażliwie patrzą na niektóre przestępstwa, uważając je, nie wiedzieć czemu, za niewinną psotę.

19 lipca 1874 r.

Po strasznym upale, który trwał około 3 tygodni z rzędu, po raz pierwszy powietrze orzeźwił deszcz. Pojawił się on niespodziewanie wraz z porywistym wiatrem, który to na jakiś czas ucichał, to znów się wzmagał, doganiając deszczowe chmury, silnie przy tym wzburzając rzekę i zagrażając mojej łodzi wypłynięciem na mieliznę. W przeciągu jednej godziny to pojaśniało to robiło się pochmurno, a pod wieczór zerwała się taka burza, że cała rzeka pokrywała się spienionymi falami, które powodując straszne kołysanie, z każdą minutą groziły przewróceniem łodzi. Ponieważ Lena w tym miejscu nie była jeszcze szeroka, to wioślarzom udało się dopłynąć do brzegu, chronionego od naporu wiatru przez wysokie, strome góry. W tym spokojnym miejscu spędziliśmy około godziny, przysłuchując się jękowi burzy i obojętnie przypatrując najeżonemu grzbietowi wzburzonej Leny.

Cisza, która nastąpiła po krótkotrwałej burzy, a szczególnie przezroczyste powietrze, którym oddychałem od wyjazdu z Irkucka, pozwoliły mi płynąć dalej do późnej nocy. Ten, kto nie był na Syberii, szczególnie porą letnią, nie może sobie wyobrazić, jak męcząca potrafi być jazda, zwłaszcza podczas letnich upałów i to nie tyle za sprawą piekących, słonecznych promieni ile od ukąszeń much i komarów; dlatego minuta ochłody staje się dla podróżnika istną rozkoszą. Syberyjskie muchy są większe od zwykłych, a do tego tak natrętne, że nie sposób ich od siebie odegnąć. Najgorsze jest to, że one stale wpadają do oczu, wpełzają do nosa i uszu, powodując nadzwyczaj bolesne ukąszenia, po których na długo pozostaje opuchlizna. Ochroną od tutejszych komarów jest dym i siatka. Dym tworzy się w następujący sposób: do glinianego naczynia z niewielkim wgłębieniem wkłada się kilka rozżarzonych węgielków (czasami podpala się trochę suchych szczapek), które przykrywa się najpierw

suchym mchem, potem wilgotną trawą, a na koniec liśćmi i gałęziami, czasami także nawozem. Od powolnego spalania tych surowców tworzy się dym, który podtrzymuje się ciągłymi podmuchami, dodając do tego co nieco palącego się materiału. Taki dym znajduje się na zewnątrz, pod drzwiami i oknami domu, a także w sieni. Poza tym, za jego pomocą chronią się także robotnicy podczas swoich prac na świeżym powietrzu. Ale ja przekonałem się, że przynosi on mało pożytku; lepiej od komarów chroni siatka z włosia używana tylko przez chłopów albo z czarnej krepy (rodzaj materiału A.M.). Ta ostatnia jest bardzo wygodna i praktyczna. Aby ją zrobić, bierze się arszyn i ćwiartkę krepy i z całej jej szerokości robi coś w rodzaju zasłony otaczającej wokół kapelusza. Jej boki zszywa się całkowicie; przez cały dolny brzeg tej zasłony przeprowadzony jest cienki sznureczek, którym jest ściągana siatka wokół szyi, chroniąca takim sposobem od ukąszeń komarów całą głowę, twarz i szyję.

20 lipca 1874 r.

Dziś przyjechałem do miasta Kireńska, przebywszy w ciągu pół doby 39 wiorst (jeden odcinek) od ostatniego noclegu we wsi Biezurkowa. Kireńsk leży na prawym brzegu Leny, która otoczywszy miasto z jego północnej strony, robi zwrot w lewo i ukrywa się pomiędzy wysokimi skalistymi górami pokrytymi sosnowym lasem z domieszką modrzewia i świerku. Miasto znajduje się na malutkiej wysepce, tworząc się od dwóch koryt rzeki Kiriengi przy jej ujściu do Leny. Wysepka ta posiada nieco wyżyn, a na jednej z nich, najwyższej, wybudowana jest drewniana cerkiew, która nadjeżdżającemu ze strony Irkucka już z dali rzuca się w oczy. Za nią ciągnie się rząd domów stojących w jednej, prostej linii, z której prawej strony widać grupy wysokich, sosnowych drzew zakrywających sobą klasztorną zabudowę. Znajdują się w niej dwa bądź trzy domki, w których mieszkają mnisi; największy jest zamieszkały przez archimandrytę i niezbędną służbę. Wszystkie budynki, tak jak samo ogrodzenie są drewniane. Pomędzy nimi, na niewielkim placu, stoją dwie cerkwie, z których jedna jest już do tego stopnia zniszczona, że od długiego czasu nie odprawia się tam mszy. Najprawdopodobniej należy ona do pierwszych budowli pochodzących z roku 1655, kiedy to powstał Kireńsk, lub ostatecznie może istnieć od 1764 r., tzn. od tego okresu, kiedy stał się on okręgowym miastem guberni irkuckiej.

Większość budowli w mieście jest drewniana, z wyjątkiem niektórych kupieckich domów, które są murowane i dość efektowne. Niektóre z nich są nawet dwupiętrowe. Ludność miasta składa się z mieszczan, chłopów-przesiedleńców, kupców, osób duchownych oraz urzędników. Liczba mieszkańców to około tysiąc osób obu płci, nie wliczając w to jednak miejscowej jednostki wojskowej, urzędników służących w okręgowej policji oraz więźniów.

Spędziłem w Kireńsku 10 dni, zajmując się badaniem chorób syfilitycznych, zarówno w mieście, jak i w sąsiednich wsiach. Utrzymując stały kontakt z miejscowymi, miałem możliwość przyjrzenia się nie tylko materialnej stronie ich życia, lecz także moralnej. Szczególną moją uwagę przyciągnęli chłopi i przesiedleńcy, których bujny charakter oraz słabość do wódki od razu jasno rzuciły się w oczy. Trudno spotkać człowieka o przyjemnej powierzchowności, wszyscy oni są podrapani i pobici, a na przybyłych patrzą zadziornie i nachalnie. Od rana do wieczora można na ulicach ujrzeć kilka osób pijanych do nieprzytomności, śpiewających nieskładne piosenki lub kłócących się ze sobą na całe gardło. Kłótnia zazwyczaj kończy się bitką, która ma miejsce albo w karczmach, których tutaj jest nadzwyczaj dużo, albo za miastem. Kilka dni temu zdarzył się taki wypadek: o godzinie 23 kancelista miejscowej policji wracający do domu, przechodząc koło karczmy, zauważył pijących robotników, którzy bardzo nieostrożnie obchodzili się z ogniem. Podszedłszy do otwartego okna, zaczął ich napominać i kazał rozejść się do domów. Jeden z biesiadujących wybiegł na ulicę i przewróciwszy policjanta, zaczął go kopać i obiema rękoma dusić za gardło. Potem wybiegło z knajpy jeszcze dwóch pijanych, którzy zaczęli bić ofiarę, gdzie popadło, jeden – pałką, a drugi – żelaznym pogrzebaczem. Następnego dnia pobitego prawie na śmierć kancelistę z opuchniętą i zakrwawioną twarzą, a w niektórych miejscach prawie przebitą do czaszki głową, zawieziono do szpitala. Winni ukryli się bez śladu. Takie zdarzenie powinno postawić na nogi całą policję, a tymczasem odniosła się ona do tego zupełnie obojętnie, obwiniając nawet nieszczęsnego kancelistę, że sam dał ku temu powód. Za miastem także zdarzały się różne wykroczenia, szczególnie latem, w okresie sianokosów, kiedy często jeden drugiemu zadaje rany nożem lub kosą. Wszystko to dzieje się w stanie nietrzeźwym, gdyż według wprowadzonego tu obyczaju, poza zapłatą za dzienną robotę, gospodarz powinien także ugościć robotnika wódką. Wiele dziwnych rzeczy, niezgodnych z rosyjskimi zwyczajami, można zaobserwować w sposobie życia tutejszej ludności. Mieszkańcy miasta na przykład nie uważają za konieczne gotować sobie pożywienia, zadowolając się jedynie herbatą, którą parzą kilka razy dziennie. Taki nawyk być może nastąpił u nich na skutek wysokich cen żywności, gdy nie byli oni w stanie płacić 8 kopiejek za funt chleba czy 35 za funt wołowiny najniższego gatunku. Do tego to zgubne upodobanie do alkoholu prowadzące do tego, że są gotowi oddać ostatnią kopiejkę za kieliszek wódki, a spożywanie posiłków stało się ich potrzebą wtórną. Obserwuje się to głównie wśród niższych warstw społeczności miejskiej oraz we wsiach.

5 sierpień 1874 r.

Pomimo że wszystkie moje zajęcia w Kireńsku oraz w okolicznych wioskach zostały zdecydowanie zakończone, do tej pory przebywam w tym ze wszech miar nudnym miasteczku, gdzie nie istnieją żadne stosunki towarzyskie pomiędzy mieszkańcami, gdzie każdy żyje uparcie tylko

sam dla siebie, nie mając pojęcia o współżyciu społecznym. Nikt tutaj nie interesuje się ani książkami ani żurnalami, ani nawet wieściami z guberni, na które można się natknąć tylko w miejscowej jednostce policji i w miejskim kantorze.

Wszyscy zajęci są tylko zdobywaniem pieniędzy, nie gardząc najbardziej nagannymi sposobami, a zdobytą kopiejkę od razu przepuszczają w winiarni. W takim środowisku trudno o odpoczynek w czasie wolnym od zajęć, a jeszcze trudniej urozmaicić sobie czymś cały szereg nudnych dni ciągnących się powoli i beczynn timer. Bezwolnie opanowuje człowieka nuda, której nie można urozmaicić nawet spacerami, ponieważ jedynym miejscem gdzie można je sobie urządzić, jest brudny brzeg, na którym leżą wywrócone dnem do góry rybackie łodzie i suszące się sieci. Oczywiście tymczasem kierują się ku wielkim, skalistym góróm, które wznosząc się nad lewym brzegiem Leny, naprzeciw samego miasta otoczonego ze wszystkich stron odnogami rzeki Kirengi, stanowią wysoką (ok. 70 sążni) ścianę zagradzającą wyjście z miasta. Oto wszystko, czym można rozkoszować się w tym mieście, przechadzając się brzegiem. Za miastem nie ma już żadnych miejsc do spacerów: wokół góry, gdzie można spotkać niedźwiedzia, i niewielkie pola położone na nizinach z lewej strony rzeki, do tego tak wilgotne, że poza kosiarzami, którzy przybywają tam w okresie letnim, nikt ich nie odwiedza. Jednakże, odkryłem niektóre miejsca poza miastem, dokąd urządziłem sobie wycieczki botaniczne, które zawsze dostarczały mi niemałych kłopotów. Najwięcej sprawiał mi wynajem wioślarzy; trzeba było ich szukać po całym mieście, ponieważ po nocnych zabawach najspokojniej spali w jakimś ciuchym kąciku knajpy. Kiedy ci sami wioślarze byli także woźnicami podczas wycieczek po nieznanym mi głuchym miejscach pomiędzy górami, to nie raz bałem się, że stanę się ofiarą ich żądzy pieniądza. Te myśli rozdziły się we mnie, kiedy oni rozmawiali szeptem, być może niewinnie, ale nie mniej jednak zmuszali mnie do ostrożności i ciągłego trzymania się na niejaką odległość.

12 sierpień 1874 r.

Wreszcie nastał dzień mojego wyjazdu z Kireńska – miasta z którym nie wiąże mnie żadne przyjemne wspomnienie, a myśl o mijającej nudzie pozwalała mi patrzeć ze szczególnym zadowoleniem na czekającą mnie daleką drogę. Wszystko jest już gotowe do odpłynięcia i razem z tutejszym isprawnikiem płynę w dół Leny celem leczenia mieszkańców gminy pietropawłowskiej i witimskiej.

16 sierpień 1874 r.

Wczoraj wieczorem przybyliśmy z isprawnikiem do wsi Darinskaja leżącej 1151 wiorst za Kireńskiem, który opuściłem cztery dni wcześniej. Na całej odległości pomiędzy miastem a tą wsią brzegi Leny są wysokie i piękne, a leżące nad nimi miejscowości tak różnorodne, że na każdym

prawie kroku spotyka się inny widok. Bogactwo widoków zawdzięcza fantastycznym skalistym góróm ciągnącym się łańcuchem po obu stronach Leny. Łańcuch ten czasami się urywa i wtedy za zakolami rzeki pojawiają się pojedyncze góry; w jednym miejscu wielkie i całkowicie obnażone wznoszą się od tajgi po sam brzeg Leny i całym swym ciężarem zanurzają się w wodzie, a w drugim – dużo małychgórek mających formę piramid i pomników, ozdobionych szarym bądź białym kwiatem, gromadzących się na niewielkiej przestrzeni wzniesionego brzegu, przypominając stary cmentarz. W ogóle tutejsze miejscowości mają całkiem inne oblicze niż te znad górnych biegów Leny. Sama rzeka im dalej od Kireńska, tym robi się szersza, głębsza i bardziej bystra, ale przy tym posiada dużo mielizn niebezpiecznych dla nocnego pływania. Jednak w tych głuchych miejscach i bez tego nie można go uważać za bezpieczne ze względu na często zdarzające się tutaj zabójstwa, o których opowieści nie raz słyszałem od wioślarzy. Wkrótce zdarzył się fakt, który je potwierdził. 12 dnia tego miesiąca wioślarze, odpłynawszy od Kireńska nie więcej niż 17 wiorst, zauważyli na powierzchni wody jakiś przedmiot nieokreślonej formy i wskazali mi na niego. Kazałem skrócić łodzią bliżej, aby przyjrzeć się tej nieoczekiwanej znajdzie. Trudno było określić, co to takiego, lecz przyjrząwszy się lepiej, rozpoznaliśmy trupa człowieka okrytego workiem i pływającego w pozycji stojącej. Worek był narzucony na głowę i ramiona i obwiązany wokół tułowia, poniżej klatki piersiowej, tak że ręce znajdowały się w nim, a nogi zwisały swobodnie. Do tak jawnego dowodu przemocy wioślarze odnieśli się nadzwyczaj obojętnie i ku memu wielkiemu zdziwieniu prawie się roześmiali na widok tej strasznej ofiary, czyniąc przy tym same nieprzyzwoite porównania, wypowiedane przez nich z wielkim cynizmem. Zwróciłem im na to uwagę, a oni odpowiedzieli mi na to następująco: „Wielkie rzeczy. Tylko człowiek zabity i wrzucony do wody. Nic więcej. W zeszłym roku i jeszcze później takich wypadków było dużo we wrześniu, kiedy chłopcy wracają z kopalni. Jak taki topielec przyplynie do wsi, to my odprawiamy go z powrotem rzeką, odpychamy wiosłami, żeby ławnik nie wezwał nas na śledztwo”. Ta naiwna odpowiedź najlepiej charakteryzuje moralność owej ludności, a także dowodzi, jak trudno tutejszej miejscowej policji tropić wszelkie przestępstwa wśród tłumu pozbawionych zasad robotników wracających z kopalń z dużym zapasem pieniędzy, z powodu których dochodzi tutaj do morderstw. Wieczorem tego dnia zgłosiłem zdarzenie na stacji pocztowej (Aleksiejewskaja) i trup został wyłowiony z rzeki, po czym wszczęto śledztwo celem wykrycia winnych.

18 sierpień 1874 r.

Zbliżam się do jednej z najznakomitszych osad w kraju nad Leną, a mianowicie do Witimska, od którego znajduję się 22 wiorsty na noclegu. Obejrzałem już wszystkich mieszkańców w gminie pietropawłowskiej.



Było wśród nich wiele osób mających wole. Rozwój tej choroby, którą zauważyłem już w górnych brzegach Leny zaczynających się od Kaczugi, osiągnął tutaj swoje apogeum. Dotyka ona wszystkich niezależnie od wieku czy płci. Przede wszystkim narażone są na nią kobiety, zwłaszcza młode dziewczyny w takiej skali, że na 10 z nich w różnym wieku można znaleźć tylko 2-3 zdrowe. Wole ma paskudną formę i zajmuje zazwyczaj całą przednią część szyi, dosięgając do podbródka zwisając aż do obojczyka. Jednakże zawiadomienie inspektora o szerzącym się w tej miejscowości syfilisie nie potwierdziło się, i nawet przy bardzo szczegółowych oględzinach w całej gminie wszystkich chorych znalazłem tylko 16 osób obu płci.

26 sierpień 1874 r.

19 sierpnia przybyłem do Witimska leżącego na otwartej wyżynnej przestrzeni po lewej stronie Leny. Miejscowość niewielka. Domy są tutaj różnej wielkości i formy, w większości stare i drewniane. Cerkiew jest także drewniana i stoi na niewielkim placu oddalonym od domów w stronę rzeki. W Witimsku na stałe mieszka albo ławnik albo pomocnik inspektora. Jest tutaj także urząd pocztowy dla odbioru zwykłej korespondencji oraz przesyłek pieniężnych pod kierownictwem nadzorca stacji; jest także kilka kramików z towarami kolonialnymi, kilka winnic z trunkami sprowadzonymi z Moskwy, dwie albo trzy hurtownie z winami, gospody i wiele knajp. Witim leży w miejscu, przez które każdego roku w połowie września przechodzą robotnicy wracający z kopalni złota do swoich domów. Ich napływ bywa bardzo znaczny, czasami zbiera się ich do 5 tysięcy; spędzają tutaj kilka dni z rzędu hulaszczego życia, na które wydają zarobione przez siebie pieniądze, czasami nawet po kilkaset rubli. Miasto to jest popularne wśród przemysłowców całej Wschodniej Syberii, nazywane przez nich (oczywiście żartobliwie) San Francisco nad Leną. Nazwa wzięła się stąd, że jest tutaj wielu aferzystów przybywających w konkretnych celach; można tu spotkać rdzennych Sybiraków, Rosjan, Polaków, Niemców, Anglików, Tatarów, Żydów. Każdy z nich ma jakieś konkretne zajęcie. Niektórzy posiadają małe kramiki, na których drogo sprzedają różne towary; inni prowadzą winnice, gdzie mają wina różnego gatunku, wśród których jest i szampan sprzedawany po 8 rubli za butelkę; inni prowadzą czasowe gospody lub zatrudniają się jako sprzedawcy czy pomocnicy. Jednak te zajęcia nie zaspokajają w pełni ich żądzy pieniądza.

Myśli ich krążą ciągle wokół poszukiwania złota, wchodzą w ciemne interesy z miejscowymi złodziejami złota, często wpadającymi w ręce policji. Mieszkający tutaj Tatarzy roznoszą swoje towary po kopalniach, podczas okresowych podróży kręcą się po tajdze w nadziei natknięcia się na kawałek złota, a Żydzi, siedzący w ciemnych kątach niczym pająki, z wielką niecierpliwością czekają na szansę, kiedy będą mogli schwytać złotą muchę w zastawione przez siebie sieci. Jednym słowem, każdy stara się tutaj zdobyć jak najwięcej pieniędzy, nie przepuszczając żadnej

okazji i nie gardząc żadnymi środkami. Nigdzie jezuickie prawo: „cel uświęca środki” nie ma takiego zastosowania jak w przypadku witimskich przemysłowców. Każdy tutejszy aferzysta posiada mniejszy lub większy zapas pieniędzy. Przyjrząwszy się z boku, można stwierdzić, że to prosty chłop lub budzący litość, oberwany Żyd, kiedy widzi się, jak wydaje swój znaczny kapitał wynoszący 20-30 tys. rubli.

Najwięcej zysków przynosi wrzesień, kiedy robotnicy wracający z kopalń zatrzymują się w Witimsku na kilka dni i dosłownie rzucają pieniędzmi na lewo i prawo. W gospodach żądają lepszych win, nie martwiąc się w ogóle o ich cenę, tylko żeby na butelkach były kolorowe etykiety ze złotymi literami; podaje się im byle jaką zabarwioną miksturę ze spirytusu, za którą karczmarz bierze potrójną zapłatę od wartości zamówionego wina. Na straganach kupuje się wielkimi kawałami perkal lub materiały jedwabne, wyścielając nimi drogę od jednej knajpy, po której prowadzą pod rękę pierwszego hulakę w towarzystwie licznych pijaków. W knajpach wyrabia się czasami różne skandale kończące się stłuczeniem wszystkich butelek z wódką, za co płacą potrójną, a nawet poczwórną cenę. Na wszystko to miejscowi, a nawet policja, patrzą przez palce, uważając te bezceństwa za niewinną zabawę. Lecz czasami doprowadza ona do całkowitej rozpusty z wszelkimi konsekwencjami. Formy tej demoralizacji są czasami tak odrażające, że nie zdecyduję się na odsłonięcie zasłony nocy, która je zakrywa, a powiem tylko, że następnego dnia rano policji zdarza się znajdować dwa lub trzy trupy ludzi zamordowanych z powodu zazdrości. Krótki pobyt robotników w Witimie przemienia to miasto w Sodomę i Gomorę i staje się podstawą do niezliczonych opowieści obnażających wszelkie bezceństwa tutejszych gości; kradzieże i szachrajstwa, z których od dawnych czasów jest znany Witim, w porównaniu z opisanymi potwornościami wydają się tylko „niewinna zabawa”.

30 sierpnia 1874 r.

Już dwa dni z rzędu, z powodu święta, na głównej ulicy Witima słychać pieśni śpiewane przez naród: pijani chłopcy bezceremonialnie zagląдают do okien, stukają do drzwi, a nawet wchodzą do domów, szukając okazji do jakiejś kradzieży. Skłonność do pijaństwa jest tak silnie rozwinięta wśród tutejszych mieszkańców obu płci, że nawet dzieci od najmłodszych lat zapoznają się z alkoholem. Zepsucie obyczajów sprzyja aferzystom, którzy wykorzystują to na swój użytek, wyłudając od amatorów wszelkich zabaw i niedozwolonych swawoli ostatnie pieniądze.

2 września 1874 r.

Wczoraj razem z ławnikiem odwiedziłem dwie „rezydencje złotych przemysłowców”. Jedna z nich nazywa się „Wiska” (spadek po szacownym obywatelu Trapeznikowie) i zajmuje 5 wiorst na drugim brzegu Leny; druga – Leńsko-Witimska (spółki Bazunowa i Sybirakow) – obejmuje 15 wiorst na prawym brzegu tej rzeki. Wybudowane tam dwa szpi-

tale są oddziałami głównych szpitali stojących przy samych kopalniach 300-400 wiorst od Witima. Są one dobrze utrzymane oraz położone w dogodnym miejscu, a przy każdym z nich znajduje się apteka z podstawowym zapasem leków. W obydwu szpitalach, w ciągu całego roku, było tylko 6 chorych na syfilis; tym samym i tutaj nie potwierdziła się informacja kireńskiego isprawnika o silnym rozprzestrzenieniu się tej choroby w gminie witimskiej; przy najdokładniejszym oglądzie mieszkańców zarówno w samym mieście, jak i we wioskach, naliczyłem 10 osób zarazonych. W ogóle, na całym przebadanym przeze mnie terytorium pomiędzy Kireńskiem a Witimem (ponad 800 wiorst) znalazłem 42 osoby (w tym 16 osób w szpitalu leńsko-witimskim) dotknięte tą chorobą w różnym stadium rozwoju.

8 sierpień 1874 r.

Wciąż znajduję się w Witimie, zajmując się 10 chorymi osobami. Każdemu przybyłemu do tego miasta rzuca się w oczy straszna drożyzna na wszystko, począwszy od świec do prania bielizny; co zaś się tyczy zapłaty za usługi, to miejscowi chłopcy są już do tego stopnia rozpieszczeni, że wyceniają swoją pracę na ruble. Na przykład wysłanemu w jakiejś sprawie na drugi koniec miasta trzeba zapłacić 1 rubel; za przyniesienie bądź przywiezienie wody, która znajduje się w pobliżu, w Lenie, żądają także rubla. Do szczodrego wynagrodzenia za każdą błahostkę przyzwyczaiły tutejszych kopalnie złota, gdzie liczą się tylko pieniądze. Robotnicy całkowicie oddają się pijaństwu i za jeden kieliszek wódki potrafią oddać ostatnią koszulę. Chociaż wokół znajdują się placówki wojskowe, a Kozacy kulami zwalczają wszelkie próby prowadzenia zakazanego handlu napojami alkoholowymi, to nie zniechęca to jednak handlarzy spirytusem, którzy ryzykując życiem, ukradkiem dostarczają robotnikom zakazane napoje, żądając za nie niebywałych cen. Za butelkę nieoczyszczonego spirytusu, a przy tym tak rozcieńczonego wodą, że ledwo czuć zapach wódki, robotnicy chętnie płacą po 25 rubli, a czasami i po 10 za jeden kieliszek. Płacą gotówką lub złotem ukrytym przed właścicielem kopalni i trzymanym gdzieś w tajdze. Do Witima, jak już powiedziałem wcześniej, robotnicy napływają wielkim tłumem na raz w połowie września. Dzień ich przybycia jest zawsze świętem dla wszystkich mieszkańców. Powstaje niezwykły ruch; wszyscy biegną do przystani, starając się wyprzedzić jeden drugiego, przekrzykują się, szturchają, śmieją oraz obraźliwie warczą. W każdym domu piecze się pierogi i wołowinę; tymczasowe restauracje upiększone świeżymi i sztucznymi kwiatami z cienkiej, kolorowej bibuły, zaopatrują się w przeróżne wina, nalewki i chłodne zakąski, pokrojone w małe kawałeczki; otwierane są liczne karczmy. Wszyscy ubierają się świątecznie, a mężatki, dziewczyny oraz dziewczynki powyżej 12 lat, a nawet staruszki, zakładają swoje najlepsze sukienki. Już dzień wcześniej są gotowi do przyjęcia drogich gości. Na koniec płyną łodziami z robotnikami i śpiewają pieśni. Wszyscy od małego do dużego biegną na spotkanie nad brzeg Leny z rozpostartymi ramio-

nami, nie troszcząc się o to, czy wpadnie w nie znajomy z zeszłego roku czy obcy. Tylko żeby przyciągnąć do siebie jak najwięcej chłopców pragnących nabawić się dowoli. Każdy zaprasza ich do siebie do domu pod różnym pretekstem. Podniecone i zarumienione dziewczęta, przechadzając się niewielkimi grupkami brzegiem rzeki, od czasu do czasu kokieteryjnie zaczepiają przechodzących obok nich chłopców, uśmiechają się przyjaźnie i żartobliwie grozą palcem, starając się tym niewinnym sposobem zwrócić na siebie ich uwagę; niektóre stosowały bardziej stanowcze i śmiałe środki dla przyciągnięcia do swoich domów gości. Grupy spacerujących dziewczyn szybko się zmniejszają; każda znajduje swojego kawalera i razem z nim odchodzi do domu, radując się w duszy, że złapała złotą rybkę. Nie mniejszy udział w przyzywaniu robotników do domów mają też chłopcy, którzy biegną od jednego do drugiego, chwytają za koszule i szerokie spodnie oraz natrętnie ciągną za rękę, obiecując gościowi największy pieróg i dużo wódki. Gwar, głośnie powitania, wzajemne obejmowanie się, dźwięki harmonii słyszane w różnych miejscach trwają do tego czasu, dopóki nie skończą się rozmowy i zapraszanie do domów. Wtedy właśnie cały ten głośny tłum, podzieliwszy się na mniejsze grupy, długim korowodem ciągnie do osady z pieśniami i muzyką w towarzystwie żandarmów przysyłanych tutaj każdego roku po to, aby pilnować porządku i ciszy.

Jedni robotnicy idą do mieszkań, zgodziwszy się zapłacić za dobę od 3 do 10 rubli, a inni prosto do gospod; pozostali atakują karczmy, których są panami przez cały czas pobytu w Witimie i gdzie wydają swoją ostatnią, zarobioną kopiejkę. Zaproszonych do mieszkań gospodarze witają z otwartymi ramionami, a drogi gość rozochocony tak serdecznym przyjęciem czuje się jak u siebie w domu i bez żadnego skrupowania daje upust wszelkim swoim potrzebom: szasta pieniędzmi i hula cały dzień do późnej nocy, pławiąc się we wszelkich przyjemnościach. Następnego dnia rano dopiero co obudzonego gościa, ale już bez kopiejki przy duszy, gospodarz wyrzuca won, a przy tym jeszcze czasami zanosząc na niego skargę na policję, jakoby nie zapłacił za nocleg. Robotnicy z suto nabitymi portfelami świętują z gospodarzami bądź krewnymi trzy, cztery dni, urządzając spacerów z domów do karczmy z muzyką i pieśniami. W trakcie takich spacerów każą sobie wyścielać drogę kreponem oraz jedwabiem w drodze powrotnej do domu. Z przodu idą dwie harmonie, za nimi w kolorowej koszuli pijany chłopiec z kilkoma butelkami szampana w każdej ręce, podtrzymywany przez dwóch towarzyszy bądź dwie wybrane siostry i otoczony całą rodziną gospodarza, u którego na drogiego przybysza czeka obfita zakąska. Wreszcie nadchodzi dzień rozliczenia się z gospodarzem, któremu przybysz płaci czasami do 200 rubli, nie wliczając w to pieniędzy wydanych na prezenty dla jego krewnych oraz na wino w gospodzie. Te rozliczenia zawsze wiążą się z jakimiś nieprzyjemnościami, które spotykają zawsze nieszczęśliwego robotnika.

15 wrzesień 1874 r.

Wczoraj przybyłem do ostatniej stacji pocztowej w guberni irkuckiej – Żerbińska, doznając po drodze wielu niewygód w postaci głodu i chłodu. Na całym odcinku pomiędzy Witimem a Żerbińskiem z trudem można było dostać kawałek żytniego chleba, nie mówiąc już o innych produktach, o które się nawet nie starałem, bo dowiedziałem się od woźniców, że tutejsza ludność jest bardzo uboga. Chłód był nadzwyczaj odczuwalny, a teraz panuje pochmurna, deszczowa jesień. Wczoraj o 10 rano zastała nas burza trwającą przez całą dobę ze strasznym nasileniem. Z pierwszym porywem wiatru rzeka wzburzyła się, pociemniała i najeżyła swój grzbiet, na początku nieustannie pluskała wzdłuż brzegu, a potem rozwścieczyła się tak, że zaczęła rzucać na wszystkie strony wielkie fale pokrywające się białą pianą. Moja nieszczęsna łódź, podobna do małej szczapki, to krążyła w jednym miejscu to podnosiła się do góry prawie pionowo, to stopniowo opuszczała w dół pomiędzy dwoma wysokimi falami gotowymi, jak się wydawało, pociągnąć nas na dno rzeki. Wioślarze porzucili swoje wiosła, gdyż okazały się one całkowicie zbędne, ruszyli na pomoc sternikowi, który całkiem opadł z sił, aby stale kierować czołno łodzi prosto na fale i nie pozwolić im uderzać po bokach, od czego mogłaby ona łatwo się przewrócić. W ten sposób długo walczyliśmy pośrodku rzeki ze wzburzonymi falami; na koniec wioślarzom udało się wykorzystać chwilowe uspokojenie burzy, aby zbliżyć się do brzegu, który od wiatru chroniły wysokie skały. Tutaj już niebezpieczeństwo było mniejsze. Sternik przy pomocy wioślarzy stale utrzymywał łódkę na nijaką odległość od brzegu, która sama z siebie płynęła wraz z bystrym nurtem rzeki, przecinając niewielkie fale i robiąc około 8 wiorst na godzinę. Płynęliśmy bezustannie do 9 wieczorem, mijając przystanie stacji pocztowych i nigdzie nie cumując do brzegu, aż do samej osady Żelebińsk, gdzie już z pomocą woźniców ze stacji pocztowej i innych mieszkańców osady moja łódź znalazła się w bezpiecznym miejscu w przystani, i gdzie została przywiązana grubymi sznurami do pnia, przymocowanego do ziemi wzniesionego brzegu rzeki. Nocowałem w kajucie, która służyła mi za pokój, gdzie czując się bezpiecznie, przysłuchiwałem się wyciu burzy trwającemu całą noc do 5 rano.

Choć burza na rzece zdecydowanie ucichła, na brzegu jednak trwał silny, chłodny wiatr wiejący stale z zachodu i pędzący ciężkie chmury, idące tak nisko, że w swoim szybkim pochodzie dotykały niektórych szczytów wysokich gór. Powietrze było mgliste i wilgotne. Z opowiadań miejscowych wiem, że taka pogoda trwa tutaj przez cały wrzesień i pływanie jest wtedy niebezpieczne.

19 września 1874 r.

Już trzy dni mieszkam w Olekmińsku, okręgowym mieście obwodu jakuckiego. Leży ono na prawym brzegu Leny, na otwartej przestrzeni

rozpościerającej się daleko na wszystkie strony; góry i lasy widać tylko z daleka, a w pobliżu rosną niewielkie wierzbowe krzaczki i młode brzozy. Olekiminsk jest dużo gorszy od Kireńska; posiada tylko jedną ulicę, do tego brudną, gdzie tylko od czasu do czasu można ujrzeć Jakuta jadącego na wole. Woły wykorzystuje się tutaj zamiast koni do różnych prac gospodarczych, zarówno do wyciągania wody z rzeki, jak i do wożenia drewna. Ludność miasta to Rosjanie (mieszczanie i kupcy), Jakuci oraz osiedleńcy i raskolnicy (skopcy) zesłani tutaj na mocy nakazu administracyjnego. Ci ostatni są bardzo pracowici i prowadzą się bardzo przykładnie. Rdzenni Jakuci są bardzo leniwi, niechlujni, nieżyczliwi i chciwi. Jako wioślarze są roztropni i śmiali, ale nudzą się pasażerowi swoimi śmiesznymi sygnałami, które dają za każdym razem, gdy zbliżają się do stacji pocztowej, żeby zawołać na brzeg woźniców. Ich sygnały to ciągle krzyczenie „aaa...u” powtarzane bez ustanku. Pierwszy sygnał daje sternik, a za nim wszyscy troje krzyczą to przeciągłe „aaa...u”. to ostatnie „u” jest wymawiane bardzo głośno i w sposób przerywany, jakby wystrzałem ze strzelby i kończy się słowami: „dawaj woźniców!”.

Na ulicy jest strasznie brudno, a chłód i wilgoć sprawiły, że straciłem wszelką ochotę na spacer po mieście. Trzy dni siedzę w mieszkaniu, nie wychodząc i patrząc przez okno na Lenę, zastanawiając się, jakie niespodzianki szykuje ona dla mnie w drodze do Jakucka, do którego stąd 700 wiorst.

21 wrzesień 1874 r.

Sam sobie nie mogę uwierzyć, że płynąc łodzią niepełną dobę, można było zrobić 132 wiorsty. Taka odległość jest pomiędzy Olekiminskim a stacją pocztową w Czekursku, do której przybyłem o 10:30 rano i gdzie zatrzymałem się na krótki czas, żeby zaopatrzyć się w jakiś prowiant. Dzisiejszy dzień, podobnie jak wczorajszy, był słoneczny, lecz chłodny. O godzinie 11 zaczął wiać wiatr, który wzburzył Lenę, pół godziny temu jeszcze nieruchomą i błyszczącą jak lustro. Wioślarze śpiewali swoje piosenki (jakuckie improwizacje) i korzystając ze sprzyjającego wiatru, mknęli jak strzała do następnej przydrożnej stacji, gdzie mieli zostać zmienieni przez kolejnych. Trzeba nadmienić, że Jakuci śpiewają swoje pieśni nie do rymu, a przy tym nie są one dobrze wyuczone. Po prostu w natchnieniu, które wzbudza u nich wszelki przyciągający uwagę przedmiot, działający na ich wyobraźnię, jak na przykład skała o dziwacznej formie, rozłożyste i wysokie drzewo, orzeł, jeleń przepływający przez rzekę z jednego brzegu na drugi, a w końcu miejscowość, która spodoba im się bardziej niż inne. Ku chwale tych zjawisk układają pieśń, śpiewając ją półgłosem, smętną recytacją, co wprawia słuchacza w nastrój melancholijny. Tym razem moich wioślarzy natchnęła oczekiwana przez nich burza. Pieśń, którą przetłumaczył jeden z nich była następującej treści: „Lena się przebudziła, Lena jest niezadowolona, że rozbudzili

ją wiosłarze; Lena zaczyna rozplatać swe mokre warkocze; wiatr przeskadza Lenie; Lena szybko się gniewa, widać jak posiniała: wiatr się śmieje, śmieje się, śmieje i otworzywszy paszczę, wieje Lenie prosto w oczy; wkrótce wiatr zawyje na wszystkie dzikie głosy; zaraz Lena wpadnie w szal; wkrótce nastanie bieda; no! drogi (towarzyszu), zgodnie! No! Drogi, silniej uderz wiosłami i...basta!”.

Jest 6 wieczorem. Zrobiłem zaledwie dwa odcinki pocztowe ze stacji Czekurskaja z powodzeniem i szybko dzięki wysiłkowi wiosłarzy i pomyślnemu wiatrowi wiejącemu, kiedy w końcu sprawdziły się przewidywania Jakutów i nastąpiła burza.

25 wrzesień 1874 r.

O 10 rano przybyłem do stacji pocztowej do wsi Bestachskaja leżącej 130 wiorst od Jakucka, zrobiwszy cztery odcinki z tymi samymi wiosłarzami, których wynająłem we wsi z następującego powodu. Ze stacji pocztowej Batajemska do wsi Bestachskaja można przepłynąć tylko pięć odcinków rzeką, pozostałe pięć do Jakucka trzeba jechać łądem wozem, ponieważ stacje pocztowe są oddalone od brzegu o 10-15 wiorst. Im bliżej Jakucka, tym Lena staje się szersza i pojawiają się na niej niewielkie trawki. Wygląd gór także się zmienia: nie są już one skaliste lecz uformowane z gliny, a składają się jak gdyby z najdrobniejszego białego piasku, którym są pokryte brzegi rzeki. Góry ciągną się po prawej stronie Leny i jeśli spojrzeć z oddali, sprawiają wrażenie białych piramid stojących jedna przy drugiej w linii prostej, lecz jeśli by się zbliżyć, to okazuje się, że to nic innego jak grzbiety górskie stojące prostopadle do Leny. Przednia ich część jest całkowicie obnażona, biała i nie tak twarda jak kreda czy wapń. Wyglądają bardzo pięknie. Boki grzbietów porasta las świerkowy z domieszką młodej brzozy. Lewa strona Leny jest nizinna, pokryta białym piaskiem, którego w dużej odległości od brzegu nie porasta żadna roślinność. Takie miejsce można spotkać tylko w drodze do Bestachowskiej stacji pocztowej; lecz kilka wiorst dalej fizjonomia terenu zaczyna się zmieniać i płaski, lewy brzeg stopniowo staje się pagórkowaty. Pierwsze góry stoją rzędem wzdłuż brzegu i wydają się wielkimi, kamiennymi ścianami o wysokości nie więcej jak 15-20 sążni i tak bardzo pochylone do przodu, że nieprzyjemnie było koło nich płynąć ze strachu, żeby się nie zwały. Ściany ich były białe i jakby zbudowane z grubych cegieł. O 7 wieczorem zatrzymaliśmy się na brzegu, na przeciwko osady Pokrowskiej leżącej 84 wiorsty od Jakucka, a od nas mniej niż wiorstę. Usłyszeliśmy dźwięk dzwonu oraz szczekanie psów. To połączenie dźwięków pochodzących z różnych źródeł obudziło w mojej piersi najbardziej radosne uczucia, jakich doznałem po raz pierwszy, płynąc od Olekiminska po pustynnych przestrzeniach, gdzie można było widzieć w górze tylko skłon niebieski, na dole – wodę, a po bokach – milczące skały i posępna tajgę. Jeśli wziąć pod uwagę prawie codzienne burze, to łą-

two sobie wyobrazić, w jakim stanie ducha znajdował się nieszczęsny podróżnik narażony stale na te niepokojące zjawiska. Czy można się tedy dziwić, że nawet psie szczekanie przypominało mu wtedy słowiczy śpiew przypominający żywy świat?

26 wrzesień 1874 r.

O 11 rano znajdowałem się 30 wiorst od Jakucka i byłem gotowy spierać się z każdym, że na pewno pożegnam się z Leną, kiedy nagle spotkał mnie nieoczekiwany postój. Po przepłynięciu niecałych trzech wiorst wiatr pchnął moją łódź na mieliznę, skąd nie mogłem się wy dostać aż do 11 w nocy. Już z samego rana wiał nieustannie chłodny wiatr, który nie pozwalał nam przepłynąć więcej niż 4 wiorsty na godzinę. Większych fal nie było, które jak już zauważyłem zawsze były zwiastunami burzy, więc nic nie szarpało łodzią. Szła ona płynnie, w ogóle nie kiwając się na boki. Nagle w samo południe zerwała się burza. Płynęliśmy w tym czasie w odległości 50-60 sążni od brzegu, ku któremu wioślarze w tym czasie skierowali łódź, lecz, przy wszystkich swoich wysiłkach w ciągu całej godziny, nie mogli do niego przycumować. Pozostało nam jedno: skierować łódź na mieliznę i tam oczekiwać końca burzy. Łódka była ustawiona w takim kierunku, że wiatr uderzając w jeden z jej boków, z każdą minutą groził przewróceniem bądź rozbiciem. Wioślarze zrobili z drągów podpory przeciwne do kierunku wiatru, ale i te mały przyniosły pożytek i prawie że rozbiły cienką ściankę kajuty, wciskając się w nią przy każdym silniejszym porywie wiatru. Do tego okazało się, że nie mamy ani kawałka chleba, nie mówiąc już o innych produktach, gdyż uznałem, że zaopatrywanie się w nie jest zbędne, skoro znajdowałem się tak blisko miasta, a poza tym, i tak nie było skąd ich wziąć. To pustynne miejsce, od którego góry odsunęły się na kilka wiorst, sprawda na człowieka straszny smutek. Lena w tym miejscu jest bardzo szeroka, a jej brzegi lekko pochyłe. Na dużą odległość od brzegów rzeki, na ile można było ogarnąć okiem, widać było tylko biały piasek i wodę; wokół była tylko martwa cisza, niezakłócona nawet lotem ptaków.

27 wrzesień 1874 r.

Wreszcie o 5 rano udało się nam odbić się od mielizny, na której spędziliśmy około 17 godzin o chłodzie, głodzie i bez snu. Burza ucichła o 4 rano, ale wiatr jeszcze trwał, nie zmieniając swego kierunku, i wiał nam naprzeciw, spowalniając podróż. Moja łódź jednakże sunęła do przodu, nie napotykając na żadne przeszkody ze strony Leny, spoczywając spokojnie w swoim korycie wśród głębokich piasków. Im bliżej Jakucka, tym chłód doskwierał bardziej, a 12 wiorst od niego zauważyłem na rzece lód ciągnący się wąskim pasmem wzdłuż lewego brzegu, w pobliżu którego płynęliśmy. Oceniając po dzisiejszym chłodzie i zamrzniętej ziemi, przypuszczam że w tym miejscu temperatura obniżyła się do 5 stopni. Oba brzegi rzeki są dość wysokie, a za nimi rozciąga się wzdłuż płaski, równy teren



pozbawiony wszelkiej roślinności, z wyjątkiem niewielkich krzaczków rozrzuconych małymi grupami w dużej odległości od siebie. Płynąc wciąż w pobliżu brzegu, nie zauważyłem jak w południe moja łódź zatrzymała się na przystani, z której widać było tylko wieże cerkwi w Jakucku leżącym na równym terenie po lewej stronie Leny. O 3 po południu przyjechałem do miasta.

*Z języka rosyjskiego tłumaczyła  
Anna Mrozowicka*

\*

Tomasz Augustynowicz reprezentuje wszechstronny umysł podróżnika i badacza. Z wykształcenia lekarz, odwiedzający Syberię w celach zawodowych, okazał się także bystrym obserwatorem życia codziennego i obyczajów tutejszych plemion. Urodził się on w 1809 r. w Kokiszkach na Wileńszczyźnie, a zmarł w 1891 r. w Święcianach. Ukończył Wydział Medyczny na Uniwersytecie Wileńskim. Pracował jako lekarz w europejskiej części Rosji, gdzie opublikował prac z zakresu medycyny i botaniki W 1871 r. został oddelegowany na Sachalin wraz z komisją do zbadania warunków pracy katorżników dokąd udał się drogą lądową przez Syberię. Tam, jako pierwszy z Polaków, poczynił obserwacje etnograficzne wśród Giliaków, Oroczonów i Ajnów. W latach 1874-1876 przebywał w Jakucji będąc członkiem ekspedycji lekarskiej, gdzie zebrał materiały etnograficzne o tamtejszych plemionach (Czukczach, Jakutach, Tunguzach, Jukagirach). W 1878 r. w Moskwie odbyła się wystawa zebranych przez niego strojów tych ludów.

T. Augustynowicz przemierzył Syberię wzdłuż i wszerz, czego owocem było kilkanaście artykułów, korespondencji oraz sprawozdań poświęconych tematyce etnograficznej, geograficznej oraz przyrodniczej. W rosyjskiej literaturze naukowej został nazwany „jednym z pierwszych pionierów wyspy Sachalin i okręgu jakuckiego”. Wprawdzie autor tego artykułu nie był zesłańcem zdecydowaliśmy się jednak na opublikowanie jego relacji z Jakucji bowiem potwierdza ona raz jeszcze, że w epoce zaborów Polacy kończący uczelnie na terenie Imperium Rosyjskiego często podejmowali pracę w odległych rejonach Syberii. Ponadto Jakucja znana jest przynajmniej części czytelników „Zesłańca” z okresu zesłań i deportacji w latach 1940-1941 i być może odnajdą oni w tym artykule jakieś interesujące wątki z ich jakuckiego „domu niewoli”.

Tłumaczony tekst pochodzi ze zbioru: F. M. Augustynowicz, *Жизнь русских и инородцев на острове Сахалин*, przygotowanego przez W. M. Łatyszewa, Južno Sachalińsk 2007. Redakcja dziękuje mu za wyrażenie zgody na przedruk i tłumaczenie tekstu na język polski. Pierwotnie opublikowany on został w zbiorze „Drewnaja i Nowaja Rossija”, 1880, tom XVIII, s. 641-733, pt. *Tri goda w siewiero-wostocznoj Sibiri za poliarnym krugom*.

*Anna Mrozowicka*

